

"WSCHODNIE LOSY POLAKÓW"

W roku 1939 po napaści Niemiec na Polskę i wkroczeniu Armii Radzieckiej na Białostoczczyznę, Kiszelnica k. Łomży, gdzie samieszkiwałam znalazła się w granicach ZSRR. Ojciec, który walczył na froncie polsko-niemieckim po klęsce i rozbięciu jego oddziału próbował przedostać się do domu, przepływając Narwę, lecz został aresztowany przez władze radzieckie i wywieziony na Syberię. Przez kilka lat pracował przy wyrobie tajgi w okolicach Uchty. Po decyzji o utworzeniu Armii Polskiej pod dowództwem gen. Andersa ojciec zgłosił się do wojska. O jego losach dowiedziałam się dopiero pod koniec 1946 r., gdy wrócił do domu po przebyciu kampanii na froncie zachodnim.

Po wybuchu wojny niemiecko-radzieckiej, w czerwcu 1941 r. wczesnym rankiem do naszego domu przyszedł sortys Czesław Wykowski z kilkoma osobami z NKWD. Kazano nam natychmiast ubierać się i wychodzić. W domu prócz mnie /niałam wówczas 5 lat/ była matka, Maria Surowik i dwie siostry: starsza Eofia w wieku 9 lat i młodsza Alicja w wieku 3 lat. Poza ubranien osobistym nie pozwolono nam zabrać ~~nieczego~~ ^{nic} więcej. Wraz z innymi rodzinami przewieziono nas na stację PKP w Łomży, a tam umieszczono w wagonach towarowych. Nie dopuszczono do nas nikogo z rodziny, która dowiedziała się o naszym przymusowym wyjeździe i próbowała z nami skontaktować.

Pociąg ruszył w nieznaną. Wagony były szczególnie zamknięte, słychać było krzyki i płacz dzieci. W naszym wagonie było ok. 30 osob, wśród nich rodziny Jozefa Kaysia z Łomży, p. Alenkiego z Niewadowa, p. Bargielskiego z Niewadowa, jedna rodzina żydowska z Łomży.

Jechaliśmy dzień i noc z krótkimi postojami. Któregoś dnia nadleciały niemieckie samoloty i ostrzelały pociąg. Rozległy się wybuchy bomb, wagony zaczęły się palić, powstała panika. Słychać było krzyki i jęki rannych. Matka modliła się i powtarzała: "to już koniec z nami". Nie zdawałyśmy sobie jeszcze sprawy z okropności wojny. Przez małe okienko u sufitu wagonu wpadł odłamek bomby i trafił jedną z kobiet. Wkrótce zmarła. Jej zwłoki pozostawały w wagonie przez kilka dni, gdyż nie pozwolono nam otworzyć drzwi. Działo się to w okolicach Minska.

Po dalszych kilkunastu dniach podróży pociąg zatrzymał się

i wypuszczono nas, pozostawiając własnemu losowi. Wokół rozciągał się step. Byliśmy w Kazachstanie w obwodzie Aktiubinskim /o tym dowiedzieliśmy się później/. Głodne, zmęczone, brudne, bez dokumentów, bez dachu nad głową, bez ciepłych ubrań. Samotna matka z trójką małych dziewczynek...

Ogarnął nas strach przed nieznany terenem i dzikimi zwierzętami. Rozpoczęliśmy poszukiwania jakiegoś schronienia. Po kilku dniach wędrówki natknęliśmy się na ziemiankę, w której było kilka ludzkich trupów w stanie rozkładu. Matka, mając do pomocy trzy małe i głodne dziewczynki, sama również wyczerpana do granic wytrzymałości, usunęła trupy i uporządkowała ziemiankę. Na jakiś czas miałyśmy więc schronienie. Głód zmusił nas jednak wrócić do dalszej wędrówki.

Wędrowaliśmy z miejsca na miejsce w poszukiwaniu pożywienia. W osadach chodziłyśmy po śmietnikach zbierając resztki chleba, obierki z ziemniaków, nawet pallię: szczury, psy. Miejscowa ludność była nastawiona do nas nieprzyjaźnie. Przeważnie przepędzano nas w step, a niekiedy szczeruto psami. Nie raz byłem przez nie pogryziona, gdy wyciągałam rękę po kawałek chleba. Dziś w moim domu nie wartyje się ani okruszyna, gdy trzymam w ręku kawałek czerstwego chleba, staje mi przed oczami obraz nędzy z tamtego okresu.

Bywały dni a nawet tygodnie, że nie miałyśmy nic do jedzenia. Towarzyszył nam pusty step i dzikie zwierzęta, równie wygłodniałe jak my. Często napotykałyśmy szczątki ludzkie ogryzione przez wilki.

Najgorsza była zima. Mroz sięgający często kilkudziesięciu stopni, brak ciepłej odzieży, butów i żywności. Zamieszkałyśmy w opuszczonej ziemiance, którą ogrzewaliśmy wysuszonym łajnem zwierzęcym, nagromadzonym latem i chwastami zwanymi przez miejscowych "buran". Żywiłyśmy się suskami, które kapałam ze starszą siostrą wlewając wodę do ich nor i wypuszczając je na powierzchnię. Suszki stanowiły wówczas podstawowe danie w naszym jedłospisie. Wodę do wypuszczania suszków nosiłyśmy z odległości kilku kilometrów znalezionym na wysypisku śmieci-wiaderkiem.

Podpatrywałyśmy miejscowych, gdzie wyrzucają resztki jedzenia, stare ubrania, buty. Zbierałyśmy wszystko, co mogło pomóc nam w naszej niedoli. Niejednokrotnie musiałyśmy stoczyć boje z wygłodniałymi, na wpół zdziczałymi psami. Czasami udawało się nam znaleźć zdechłego osiołka. Był to rarytas szczególnie

przez nas ceniony. Nasze główne pożywienie stanowiły prażone ziemniaki, buraki a nawet jakieś chwasty. Wszystkie chorowałyśmy na tyfus plamisty.

Po ok. 2 latach tułaczki i skrajnej nędzy znalazłyśmy się w kolechozie w miejscowości Zorui. Tam ratce udało się znaleźć pracę za parę garści proca lub pszenicy dziennie. Ziarna pszenicy zjadałyśmy natychmiast na surowo, czasem ratce udawało się rozgotować je w wodzie.

Pamiętam, że w pobliżu przebiegała linia kolejowa. Pilnowałyśmy, gdy przejeżdżał pociąg i wychodziłyśmy z siostrami śabrać o jedzenie lub ubranie. Niekiedy udawało się nam zdobyć kromkę chleba lub starą odzież. Byłyśmy wtedy niezmiernie szczęśliwe. A czasem zziębnięte wracałyśmy z pustymi rękami. Kiedyś znalazłam skórzany pasek, który kroiliśmy na kawałki i żułyśmy, by oszukać głód.

Pod koniec naszej tułaczki zamieszkałyśmy w jakimś miście. Było to prawdopodobnie miasto na pograniczu kazachsko-uzbeckim. Mieszkało tam sporo Polaków i Żydów. Nasza sytuacja uległa znacznej poprawie. Matka dostała pracę u Żydów. Coraz częściej i więcej mówiło się o Polsce, o tym, że wojna wkrótce się skończy i wrócimy do kraju. Znajomi Żydzi pomogli nam zdobyć dokumenty.

Wreszcie zawiadomiono nas, że na stacji stoją wagony, którymi będziemy wracać do Ojczyzny. Była noc, ale wszystkie, nie dowierzając zapewnieniom władz, pobiegłyśmy zobaczyć) czy to prawda. Nie czekając do rana wsiadłyśmy do pociągu i skulone, drżące z zimna czekałyśmy na ojazd. Był styczeń 1946 roku. Trudno opisać radość jaka zagościła w naszych sercach. Po tylu latach tułaczki, poniewierki, głodu i upokorzeń wracamy do Polski! Wraz z nami wracała do kraju rodzina Borawskich z okolic Jedwabnego, Władysław ~~Przystrzelski~~ Przystrzelski, p. Kaczorowska z Łomży. Byliśmy chyba jedyną rodziną w całym transporcie, która wracała do kraju w takim samym składzie, w jakim została z niego deportowana.

Podróż do Polski trwała bardzo długo. Do Łomży dotarłyśmy w lutym lub marcu 1946 r. Nie umiałam czytać ani pisać, lecz napis "Łomża" na tabliczce odczytałam, nauczyła mnie tego matka. Na dworcu czekała na nas rodzina, ta sama, która tęgnęła nas przed pięciu laty. Zamieszkałyśmy u niej, gdyż naszego domu w Kisielnicy już nie było. Zameldowano nas w gminie Rogienice na podstawie kawałka niebieskiego blankietu. Żadnych dokumentów nie posiadałyśmy, gdyż zabrano je nam na granicy radziecko-